

ROZMOWA „WIELOGŁOSU”

O literaturoznawczym profesjonalizmie, etyce badacza i kłopotach z terminologią rozmawiają
prof. Teresa Walas, prof. Henryk Markiewicz,
prof. Michał Paweł Markowski,
prof. Ryszard Nycz i dr Tomasz Kunz

Teresa Walas: *Czasy, w których uprawiamy naszą profesję (a czy jest to wciąż profesja, będzie przedmiotem naszej dyskusji), otóż czasy te są, po Norwidowsku rzecz ujmując, raczej epoką rozłamań niżli zamknięć. Osobowości, które wywierają dziś największy wpływ i które są najlepiej widoczne, najbardziej wyraziste, chętniej podważają, dekonstruuja, niżli stanowią. Najaktywniejsze i najsilniej oddziałujące obecnie kierunki myślenia to najczęściej formy relatywizmu czy pragmatyzmu. Jeśli mamy do czynienia z teoriami, to są to teorie słabe; raczej nie teorie już, lecz hermeneutyki. Chciałabym więc zadać takie oto pytanie: czy w tej sytuacji da się jeszcze mówić o jasnych i oczywistych standardach w wiedzy o literaturze? O powszechnie akceptowanych kryteriach, np. poprawności procedur badawczych? Jeśli nie, to gdzie są gwarancje naszego profesjonalizmu? Jeśli tak, to jakie są te standardy i przez co są one wyznaczane? To pierwsze ogólne zagadnienie, które chciałabym tu poddać pod rozważenie, zwłaszcza że znajdują się wśród nas uczestnicy niedawnego, prowadzonego na łamach prasy sporu dotyczącego tej problematyki. Rozpoczynając dyskusję, ponawiam więc pytania: czy rzeczywiście można mówić o wyrazistych standardach w naszej dziedzinie badań, a co za tym idzie, czy jest ona wciąż profesją? Jeśli nie, to gdzie szukać gwarancji profesjonalizmu? A może na tradycyjnie rozumianym profesjonalizmie po prostu przestało nam zależeć, bo inaczej postrzegamy naturę naszych badawczych przedsięwzięć?*

Michał Paweł Markowski: Ja myślę, że w tym pytaniu kryje się kilka istotnych rzeczy, ale nie sądzę, iż tak należałoby je formułować, jak Ty formułu-

jesz. Po pierwsze, nasza epoka, powiadasz, to epoka bardziej dekonstrukcji niż konstrukcji, bardziej rozłamań niż stanowienia. Gdybyśmy przyjęli nawet, że tak jest w odniesieniu do epoki dzisiejszej, to nie widzę w tym nic złego, a taki właśnie, zaniepokojony czy nostalgiczny ton słyszę w Twoim pytaniu. Brak mocnej metody miałby powodować upadek profesjonalizacji i standardów, ale przecież nie ma tu jednoznacznego wynikania. Zastąpienie generalnej teorii lokalnymi hermeneutykami nie jest naganne, lecz domaga się przeformułowania języka, w jakim domagamy się standardów. Nie ma już bowiem, zgoda, superstandardów poprawności naukowej, ważnych w każdym szczegółowym wypadku, nie znaczy to jednak, że nie ma ich w ogóle. Po prostu, pod naporem różnych postaw metodologicznych odszedł do lamusa projekt zgeneralizowanej nauki o literaturze. Nie ma już takiego projektu, nie wiadomo bowiem, czym jest sama literatura, skoro każda z metodologii – powiedzmy: feminizm, badania kulturowe, dekonstrukcja – definiuje ją na swój sposób. A kiedy nie ma zgody co do literatury jako obiektu badań, nie może być zgody co do wewnętrznej spójności nauki o literaturze. Tak więc, w sytuacji, gdy ponownego określenia domaga się przedmiot naszych badań, przeddefiniowaniu powinna ulec sama nauka czy wiedza o literaturze, a tym samym standardy profesjonalizacji. Nie wiadomo już, czego owe standardy miałyby dotyczyć. Czy tego, „jak” analizować teksty literackie, za pomocą jakiej metody, czy też tego, że w ogóle należy to robić, robić uważnie i solidnie. To drugie jest tak oczywiste, że nie warto się przy tym zatrzymywać. Co do pierwszego, moja odpowiedź brzmi następująco: trzeba analizować literaturę tak, by zachęcało to studentów do samodzielnej pracy. Ale mógłbym powiedzieć też inaczej: należy analizować literaturę tak, by student nie miał wrażenia, że można o niej mówić za pomocą jednego tylko języka. Te dwa standardy dostrzegam dziś jako najważniejsze, gdyż ze sformułowaniem innych mielibyśmy dzisiaj poważny problem.

Ale z faktu, że standardy naszej dyscypliny są definiowane bardziej lokalnie niż globalnie, w zależności np. od środowiska, w zależności od ludzi, którzy tworzą jakąś wspólnotę naukową, w zależności od osobowości profesora, jego otwartości lub zamkniętości metodologicznej, wynikają czasami niedobre konsekwencje. Gdy przyjrzymy się dyskusjom na tematy metaliterackie, to widać, że toczą się one w obrębie tych mniejszych grup i w konsekwencji nie ma żadnych dyskusji, bo w danej grupie wszyscy przyjmują właśnie ten sam język, natomiast pomiędzy wspólnotami naukowymi czy profesjonalnymi dyskusji nie ma. Niezmiernie rzadkie są sytuacje, że dyskutują z sobą przedstawiciele całkowicie odmiennych orientacji metodologicznych. Dyskutują, czyli decydują się na to, by zrewidować własne zasady. Wiąże się to ściśle właśnie z profesjonalizacją, w tym sensie, że profesjonalizacja się zawęża. Jakoś tak się dzieje, iż wszyscy uznają, że istnieje pewien wąski model profesjonalizacji, który uniemożliwia dyskusję między profesjonalistami w tej samej dziedzinie. Pojawia się tutaj mnóstwo paradoksów, jedno można wszakże powiedzieć: to, co mnie najbardziej zasmuca, to oziębłość polskich literaturoznawców i niechęć do spierania się o własne racje.

T. W.: *Dlatego właśnie dziś o tym rozmawiamy. To właśnie skłania do pytania, czy można wciąż mówić o profesjonalizmie w danej dziedzinie przedmiotowej, czy też po prostu mamy do czynienia z tak wąskimi lokalnymi wspólnotami myśli albo metod, że następuje dezintegracja, całkowite rozbicie tradycyjnie rozumianej i rozpoznawalnej profesji.*

M.P. M.: Jedno słowo bym jeszcze na ten temat powiedział: wydaje mi się, że trudno mówić o jednym profesjonalizmie w stosunku do przyjmowanej metody, natomiast można mówić i należy mówić o profesjonalizmie w sferze interpretacji. To znaczy, że interpretacja jest dzisiaj dziedziną profesjonalizmu. Zajmując się literaturą, interpretując literaturę, wkraczamy w przestrzeń profesjonalizmu. To znaczy, że powinniśmy robić to tak, żeby respektować rzeczywiście elementarne standardy na poziomie intersubiektywnym.

Henryk Markiewicz: Przeciwstawia Pan interpretację czemu?

M.P. M.: Teorii literatury jako takiej.

H. M.: A teoria literatury nie jest domeną profesjonalizacji?

M.P. M.: Jest, bez wątpienia, tylko tu jest znacznie trudniej określić standardy profesjonalności poza standardami logicznymi. Kiedy jednak mówimy o interpretacji, łatwiej nam powiedzieć, kiedy interpretacja jest zrobiona profesjonalnie, a kiedy nie.

H. M.: Chciałem to powiedzieć później, ale może już teraz byśmy sobie pewne pojęcia rozgraniczyli, bo w moim przekonaniu standardy naukowości i standardy profesjonalizacji to są rzeczy krzyżujące się, ale odrębne. O tym już zresztą profesor Markowski napomknął. Można być profesjonalnym nauczycielem matematyki, rysunku czy nawet *creative writing*, nawet profesorem malarstwa, nie pretendując do naukowości w tej dziedzinie.

T. W.: *Boję się mówić o standardach naukowości, więc na wszelki wypadek wolalam wybrać pojęcie „słabsze” i pytać o standardy profesjonalności.*

Ryszard Nycz: Chciałem przypomnieć oczywisty fakt, że ta formuła uprawiania badań teoretycznoliterackich, jaką znamy, nie jest dawna; ma ze sto lat plus minus w tej nowoczesnej postaci. Z drugiej strony, jest też faktem, że od ćwierćwiecza mniej więcej nic nowego, w sensie nowych koncepcji teoretycznych, się nie pojawiło. To zastanawia i skłania do myślenia, co z tego wynika. Dalej, obserwując to, co się dzieje u nas w środowisku, ale też gdzie indziej, można powiedzieć, nawiązując do sprawy standardów czy profesjonalności, że mamy do czynienia, mówiąc z grubsza, z takimi trzema grupami profesjonalnych obyczajów: tradycyjni filologowie w guście XIX-wiecznym,

albo takim, jak sobie dziś wyobrażamy ten model XIX-wiecznej filologii, nowocześni teoretycy trzymający się, z grubsza biorąc, paradygmatu strukturalistycznego jako najbardziej wyrazistego, no i ci, którzy próbują szukać czegoś poza tym. Każda z tych grup operuje trochę innymi normami profesjonalnej poprawności weryfikacji, argumentacji. Dla każdej z tych grup co innego jest argumentem nie do odrzucenia, mocną tezą, a co innego jest głupie, bełkotliwe, bezsensowne, nie do zaakceptowania. I to tworzy jeden krąg problemów.

Z drugiej strony, jest rzeczywiście faktem, ja sam odczuwam to dotkliwie, pewien konflikt niewspółmiernych trybów postępowania; między trybem argumentacyjnym a proklamacyjnym właściwie nie ma możliwości spotkania. Dzisiaj szerzy się obyczaj – i to jest dla mnie niepokojące, bo uniemożliwia jakąkolwiek dyskusję – że najchętniej proklamuje się jakieś własne poglądy bez podejmowania jakichkolwiek wysiłków ich argumentacyjnego uzasadnienia. A brak takiego uzasadnienia, które wymusza włączenie pewnych intersubiektywnie sprawdzalnych norm, zasad umożliwiających weryfikację przez kogoś, kto nie akceptuje danego teoretycznego twierdzenia, ale chciałby się porozumieć co do sfery obyczajowości w pracy naukowej, uniemożliwia wszelkie porozumienie.

Ogólnie biorąc, myślę, że kiedy nie ma takiego wyraźnego paradygmatu, jakim był np. wyraźny strukturalizm, paradygmatu, który narzuca normy naukowości dyscyplinie czy wiązce dyscyplin, wówczas powinno się to przenieść na poziom obyczajowości, czyli pewnych praktyk zinternalizowanych, nawet niekoniecznie uświadamianych, ale takich, które są taką *koine*, takim językiem wspólnego porozumienia. Ten język jest jakby poniżej czy powyżej dystynkcji metodologicznych, sporów teoretycznych czy światopoglądowych, jakich kto chce. W środowisku można zawsze wieść takie spory i dyskusje wtedy, gdy istnieje ów rodzaj porozumienia.

I ostatni wątek, nawiązujący do wypowiedzi Michała. Rzeczywiście, kiedy spotykają się przedstawiciele różnych dyscyplin, to nie są w stanie się porozumieć i nawet nie są w stanie znaleźć wspólnego przedmiotu. Język każdej dyscypliny profiluje ten przedmiot trochę inaczej i w gruncie rzeczy mówią o czym innym, są we własnych światach. I to jest chyba taki bardzo wyrazisty przykład kryzysu tej idei interdyscyplinarności, która miała być remedium na kakofonię języków teoretycznych. Okazuje się, że to powoduje właśnie zamykanie się w gettach własnych specjalności profesjonalnych i właściwie uniemożliwia sumowanie czy syntetyzowanie jakichkolwiek cząstkowych wyników poznawczych, a to miało być przecież głównym celem. Myśl, że nasza wiedza o przedmiocie jest fragmentaryczna, ale jak zsumujemy to, co powie na jego temat kulturoznawca, antropolog, filozof, psycholog kulturowy, wówczas da się zbudować pełny obraz. To się nie udało.

M.P. M.: A nie udało się dlatego, że marzenie takie było zbudowane na błędnym założeniu. Takim, że można sumować wiedzę formułowaną w obrębie różnych dziedzin. To jest absurdalne, tego się nie da zrobić. Moim

zdaniem, jedyna szansa na interdyscyplinarność to burzenie granic między dyscyplinami i tworzenie nowych przedmiotów badania, które zastąpią stare przedmioty, takie jak: literatura, historia czy sztuka. Tradycyjna zasada interdyscyplinarności zakładała, że istnieje jakaś wymiana między dyscyplinami, które zachowują wszelako swój status, język, reguły, sposoby uprawomocnienia etc., etc. Tego się nie da zrobić. To jest absurdałne założenie, które trzeba zburzyć i pomyśleć, jak tworzyć nowe obiekty badań.

T. W.: *Tak jest wtedy, gdy nie ma wspólnej metody profilującej różne dyscypliny. Bo w strukturalizmie to się jednak udawało. Wracając tymczasem do kwestii głównej: jaki jest Pana, Panie Profesorze, pogląd na te sprawy?*

H. M.: Dziękuję za zaproszenie do tej rozmowy, ale nie taję, że przychodząc na nią, czułem się w roli żywego anachronizmu. Proszę wyobrazić sobie, że ktoś taki jak np. Antoni Gustaw Bem uczestniczy w dyskusji nad tekstami Ingardena, Mukałowskiego i Bachtina.

R. N.: To jest kokieteria, Panie Profesorze.

H. M.: Takie było moje wstępne odczucie, ale po tym, co od państwa usłyszałem, to odczucie anachroniczności trochę się zmniejszyło. Z większością tych, niestety, pesymistycznych konstatacji, które tu usłyszałem, zgadzam się. Co bym mógł dodać? Po pierwsze: myślę, że nauka o literaturze to w gruncie rzeczy konglomerat różnych nauk i w różnych jej dziedzinach, takich jak tekstologia, egzegeza tekstu, interpretacja, historia literatury, panują różne rygory czy standardy poprawności – mówiąc ostrożnie. Po drugie, niezupełnie zgadzałbym się z tym, co twierdzi profesor Markowski, mówiąc, że to zawsze tak było, jak jest teraz – że istniało jakieś centrum nauki akceptowanej i rozmaite heretyckie, dysydenckie, buntownicze koncepcje. Myślę, iż różnica polega na tym, że teraz, w dziedzinie teoretyzowania, nie praktyki badawczej, na plan pierwszy wysunęły się te właśnie buntownicze, czy jak powiada Teresa, destrukcyjne koncepcje, a centrum zanikło bądź też znalazło się właśnie na peryferiach, w sytuacji tego, co już przestarzałe. Poza tym, tak czy inaczej, do przełomu czy zwrotu dekonstrukcyjnego w naszej nauce dominowała – w silniejszej lub bardziej elastycznej postaci – korespondencyjna teoria prawdy jako podstawa postępowania naukowego, co teraz często jest odrzucane, przynajmniej deklaratywnie. Dlaczego jedynie deklaratywnie? Bo gdy tylko dochodzi do dyskusji na temat tekstów zwolenników dekonstrukcji i podobnych kierunków, to od razu słyszymy zastrzeżenia: pan mnie źle zrozumiał, czyli nieadekwatnie odtworzył treść tego, co ja mówię...

Teraz *à propos* tego, że nie ma dyskusji. Nie ma dyskusji w Polsce. Zastanawiałem się: dlaczego? Po części dlatego, że mamy za mało czasu; wolimy prezentować własne koncepcje (lub cudze, które nam się podobają), niż polemizować z tym, co myślą inni. Po części dlatego, że nie chcemy sprawić przy-

krości kolegom, których cenimy, lubimy lub – od których jesteśmy zależni. Po części wreszcie dlatego – o czym już była mowa – że rozchwiały się w naszej dziedzinie kryteria prawomocności wypowiedzianych twierdzeń. I kiedy np. Jarosław Ławski pisze, że bliżej prawdy w *Panu Tadeuszu* są formy symboliczne, „których znaczenie bardziej czujemy, wyobrażamy sobie, rozumiemy intuicyjnie”, niż „intelektualne szarże przeprowadzonych rozumowań” – to kapituluję i nie umiem podjąć dyskusji. Ale proszę zwrócić uwagę, że brak także dyskusji między zwolennikami tych samych orientacji, a przecież nie we wszystkich sprawach mają zgodne poglądy.

W świecie – mimo podobnej sytuacji – dyskusje jednak się odbywają. Tylko tak się składa, iż polskie informacje na temat określonych kierunków w badaniach literackich na ogół wychodzą spod pióra entuzjastów czy przynajmniej zwolenników tych kierunków, niedbających o to, by zreferować głosy ich przeciwników. Przykładem, który prześledziłem trochę bliżej, jest polska recepcja koncepcji Haydena White’a. W rezultacie wśród polskich odbiorców tych prac powstaje wrażenie, jakoby zyskały one powszechną akceptację, i to nie tylko teoretyków literatury, lecz także profesjonalnych historyków. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Znakomita większość zarówno teoretyków historii, jak i wybitnych praktyków koncepcje te odrzuca.

I jeszcze jedna uwaga dotycząca naszej recepcji zagranicznej wiedzy o literaturze. Jest ona bardzo selektywna, nie tylko w tym sensie, o którym mówiłem przed chwilą, ale także dlatego, że ogranicza się najczęściej do tego, co opublikowane zostało przez uczonych angloamerykańskich albo tych innojęzycznych, którzy dostąpili tego szczęścia, że prace ich przełożono na angielski. Tym, co się dzieje poza Stanami Zjednoczonymi, nikt się prawie nie interesuje. Z góry się zakłada, że tam nic interesującego nie mogło powstać. Profesor Nycz przed chwilą mówił mi, że wydana zostanie antologia niemieckich konstruktywistów. Ale to w gruncie rzeczy wyjątek potwierdzający regułę. O tym, co się dzieje w literaturoznawstwie niemieckim od trzydziestu lat, nic prawie nie wiemy.

M.P. M.: A co się takiego ciekawego tam dzieje, Panie Profesorze?

H. M.: Nie śledzę już systematycznie zagranicznej teorii literatury. Ale zajmując się ostatnio takimi problemami, jak narratywizm w historiografii czy kanony literatury, mogłem stwierdzić, że w nauce niemieckiej jest wiele prac z tego zakresu na wysokim poziomie metodologicznym. To samo dotyczy teorii fikcji literackiej czy narratologii. Może nie są to prace przełomowe, ale solidne – erudycyjnie i myślowo. A oto inny przykład. W atmosferze najpierw restrykcji, a potem terroru komunistycznego na terenie Związku Radzieckiego powstały tak nowatorskie koncepcje, jak prace Bachtina, Lukácsa, Łotmana. Teraz w Rosji jest swoboda wypowiedzi naukowej. Czy w ciągu tych siedemnastu lat nie pojawiła się tam żadna ważna książka? Nie wiemy. Nikt się tym w Polsce nie zajmuje.

R. N.: *Ad vocem.* Chciałbym odrobinę zaprotestować w sprawie tej nędznej recepcji. Z jednej strony, jest ona daleka od ideału, z drugiej jednakże – wydaje się, że w ostatnich szesnastu latach dokonał się zauważalny przeskok jakościowy. Zmieniło się w zakresie tłumaczenia zagranicznej literatury humanistycznej bardzo wiele. W sensie ilościowym to był skok kilkakrotny, jak sądzę. Można mówić o humanistyce niemieckiej; są przynajmniej dwie serie, które promują tę niemiecką humanistykę: profesora Orłowskiego oraz Zeidler-Janiszewskiej. To biała seria. Ona wprawdzie rzadko zahacza o literaturę, ale na przykład Lepeniesa tam drukowano; wyszła jedna książka Borela, będzie następna. Pochwalę jak sroka swój ogonek, że w „Tekstach Drugich” mamy teraz nowy dział „Komentarze”, który służy właśnie prezentacji nowych interesujących książek ukazujących się za granicą. Komentowano tam na przykład książkę o zapomnieniu Weinricha, kiedyś literaturoznawcy, który teraz zajmuje się historią kultury czy filozofią kultury. Komentowano też wiele innych publikacji. Problemem jest, w jakim stopniu są one interesujące. Nie jest też łatwo odpowiedzieć na pytanie, co i ile się przeocza. Na pewno coś takiego zachodzi. Staramy się sami śledzić produkcję naukową, staramy się prosić osoby, które się zajmują bezpośrednio tłumaczeniem humanistyki rosyjskiej – jak profesora Żyłkę i wielu innych, żeby nas informowali na bieżąco. Ale, jak dotąd, oni tłumaczą Bachtina albo Olę Frajdenberg. To wydaje im się najciekawsze.

M.P. M.: Ja nie wiem, skąd to założenie, Panie Profesorze, że tam musi się dziać coś ciekawego?

H. M.: A skąd to założenie, że tam się nic nie dzieje? Ja stwierdzam po prostu stan braku informacji, nawet informacji takiej, iż panuje tam stagnacja. Po prostu *rossica non leguntur*.

M.P. M.: Wydaje mi się, że za to trzeba obarczać winą polskie neofilologie. Nie zajmują się takimi rzeczami w ogóle. Germaniści, angliści, rusycyści – to oni powinni dostarczać nam tej wiedzy cząstkowej, to oni powinni mówić, co ciekawego dzieje się w zagranicznej wiedzy o literaturze, a tymczasem milczą jak zakłęci.

H. M.: Mówię o stanie naszej dyscypliny – literaturoznawstwa, a nie o tym, w jakim stopniu zawinili poloniści.

M.P. M.: Neofilologie miałyby tu sporo do zrobienia, ale jakoś zlekceważyły zupełnie to zadanie, nastawiając się głównie na kształcenie nauczycieli.

H. M.: Tak dzieje się od dawna; Zygmunt Łempicki był wyjątkiem. A co do przekładów – rzeczywiście tłumaczy się teraz nieporównanie więcej niż przed rokiem 1989, ale przeważnie są to książki spoza zakresu litera-

turoznawstwa, i to zarówno dzieła już klasyczne, np. *Anatomy of Criticism* Frye'a, jak nadal aktualne, np. prace narratologiczne Genette'a czy *Temps et recit* Ricoeura. Ośmielę się też dodać, że dawniej dział przekładów i recenzji w „Pamiętniku Literackim” wszechstronnie informował o tym, co dzieje się w światowej nauce o literaturze, niż to robi dzisiejsze czasopiśmiennictwo naukowoliterackie.

T. W.: *Myszę, że w tej sprawie uzyskaliśmy względny konsensus, proponuję więc, byśmy zajęli się tym, co może nas dzielić, zaczynając od wymienionej wcześniej przez profesora Markiewicza korespondencyjnej teorii prawdy. Być może przy tej okazji wyjdą na jaw te problemy, które nas interesują: reguł języka, standardów wiedzy itd.?*

M.P. M.: Nie sędzę. Korespondencyjna czy klasyczna teoria prawdy ma bardzo konkretne znaczenie: odnosi się do relacji między dyskursem a rzeczywistością, natomiast nie dotyczy relacji między intencją a dyskursem, jak sugerował profesor Markiewicz. Czyli – że wrócę do tego przykładu – jeżeli dekonstrukcjonista dyskutuje z niedekonstrukcjonistą i powiada, że niedekonstrukcjonista źle go zrozumiał, to Pan Profesor zakłada, że przeczy on sobie, przywołując adekwacyjną teorię prawdy, i uważa ją za obowiązującą względem tego, co sam mówi. Otóż wydaje mi się, że to są dwie różne rzeczy, których nie można z sobą mieszać. Jeżeli korespondencyjna teoria prawdy została zakwestionowana, to stało się tak tylko z jednego względu: nie wiadomo, jaki jest status rzeczywistości, o której się orzeka.

H. M.: Ale wiadomo, jaki jest status tekstu?

M.P. M.: Nie, nie wiadomo. Oczywiście, że nie wiadomo. Ale jeżeli zrównamy tekst z rzeczywistością, to znaczy mój tekst z rzeczywistością, o której mój tekst orzeka, to tym bardziej nie możemy używać korespondencyjnej teorii prawdy. Powiedziałbym tyle, że jedyny kłopot, z jakim mamy do czynienia, polega nie na tym, że chodzi w ogóle o prawdę, lecz o sposób uzasadnienia tego, co się mówi. Wydaje mi się, że to jest bezpieczniejszy obszar i że na nim powinniśmy się poruszać: problem legitymizacji naszych twierdzeń. Korespondencyjna teoria prawdy na dobrą sprawę daje się obronić wyłącznie na terenie logiki, tak jak to zrobił Tarski. I to jest sprawa bezdyskusyjna. Nie ma to jednak nic wspólnego z adekwacją, argumentacją etc., etc. W naszej dyscyplinie kategoria prawdziwości sądu przesunęła się w stronę jego uzasadniania. To znaczy raczej dotyczy zasad retoryczno-argumentacyjno-logicznych, niż obejmuje stwierdzenia, że tak a tak się rzeczy mają. Korespondencyjna teoria prawdy zawsze musi założyć, że wiemy, czym jest rzeczywistość: jak ona wygląda, jaki jest jej interpretacyjny status etc., etc. Wydaje się, że jest to niesłychanie trudne do uzyskania.

H. M.: Powstało tu między nami jakieś nieporozumienie, które trudno w tej chwili rozplątywać. W każdym razie nie mówiłem – jak mi to imputuje profesor Markowski – o relacji między intencją a dyskursem, lecz o relacji między tym fragmentem rzeczywistości, którym jest określone twierdzenie a wypowiedzią odnoszącą się do tego twierdzenia. Sądzę więc, że na gruncie korespondencyjnej teorii prawdy można powiedzieć, iż nie tylko zdanie „Śnieg pada” jest prawdziwe, jeżeli w istocie pada śnieg, lecz także zdanie „Derrida twierdzi, iż pismo jest wcześniejsze od głosu”, jeżeli Derrida rzeczywiście tak twierdzi. Ale nie pretenduję do fachowości w tej sprawie.

Użyłem wyrażenia „korespondencyjna teoria prawdy” w tym sensie, że ideałem nauki o literaturze było możliwie adekwatne odtworzenie faktów w dziedzinie zwanej literaturą. Tymczasem założenie to zastępowane dziś bywa częściej przez przekonanie, że nie ma dostępu do faktów, że istnieją tylko konstrukcje. W bardziej radykalnych sformułowaniach wszelkie konstrukcje utożsamiane są z fikcjami. Dalej, że spośród tych konstrukcji należy akceptować te, które w darwinowskiej walce o byt zyskują zwycięstwo, to znaczy najszersze rozpowszechnienie. Czego melancholijną konsekwencją jest konstatacja, do której i Pan ostatnio doszedł, że najbardziej rozpowszechnione jest to, co płaskie i banalne. Wobec czego prymat należy oddać temu, co najlepiej wyraża nasze własne zainteresowania, nadzieje i lęki. Słowem, celem wypowiedzi o literaturze staje się ekspresja badacza. Jak w dziejach wiedzy o literaturze kolejno centrami byli najpierw autor, potem dzieło, dalej jego szeroko rozumiana publiczność literacka, tak teraz badacz chce badać i wyrażać samego siebie...

M.P. M.: Nie mówię, że badacz powinien badać samego siebie (to byłoby absurdalne), lecz że nie powinien uchylać się od wyrażenia tego wszystkiego, co każe mu to, a nie co innego, twierdzić. Uważam, że każdy z nas, którzy zajmujemy się literaturą, *de facto* robi to z takiego, a nie innego, nie tylko obiektywnego powodu. To znaczy, że każdy z nas ma inne prywatne interesy w badaniu literatury?

H. M.: Interesy czy zainteresowania?

M.P. M.: Istnieje coś takiego jak interes stworzenia encyklopedii teorii literatury, która pokaże, jak wiele języków mamy do dyspozycji. Uważam, że to jest bardzo wspaniały interes. Istnieje taki interes, który polega na tym, że zajmowanie się teorią literatury czy samą literaturą ma jakiś wpływ na życie tego, kto się tym zajmuje. To nazywam interese. Rozumiem przez to, że jest coś takiego, taki zbiór przeświadczeń, który wiąże się z konkretną osobą, a który każe jej wybierać na przykład pragmatyzm, a nie strukturalizm. Wydaje mi się, że to nie dzieje się przypadkiem, że wybór metodologii albo sposobu zajmowania się literaturą nie jest przypadkowy, że on jest związany z tym, kim jesteśmy. I to naprawdę nie jest to samo, co wyrażanie własnej

emocji. I nie jest to tylko kwestia zainteresowań. Różnicę między zainteresowaniem a interesem sformułowałbym następująco: mogę się interesować badaniami queerowskimi, ale nie mam żadnego prywatnego interesu, by je uprawiać. Albo: mam interes w uprawianiu dekonstrukcji, albowiem mówi mi ona więcej ciekawych rzeczy o świecie i o mnie samym niż – powiedzmy – strukturalizm.

H. M.: Z tym ja się zgodzę, ale jak Pan przyjrzy się swoim własnym tekstom, znajdzie Pan sformułowania bardziej radykalne.

M.P. M.: Mogłbym powiedzieć, że jeśli nie sformułuje się rzeczy bardziej radykalnie, to rzecz sama umyka. To jest retoryczna strategia, niezbędna w dyskusji.

H. M.: Ale jest ona powodem niepotrzebnych nieporozumień. Gdy się je rozproszy, okazuje się często, że głosiciel radykalnych poglądów niedaleko odszedł od zdroworozsądkowej *doxy* – i spór był niepotrzebny.

M.P. M.: Moglibyśmy więc teraz te nieporozumienia wyjaśnić. Co według mnie jest najważniejsze w naszej dyscyplinie? To, że jest jakieś *koine*, jakiś wspólny język, którym mówimy. Nie wiem tylko, na jakim poziomie to *koi-ne* powinno być umieszczone. Najtrudniejsze jest to, żeby wyznaczyć pułap tego *koine*. W elementarnych sprawach wszyscy jakoś się tu zgadzamy. Gdyby zapytać: czy tekst istnieje obiektywnie? Odpowiemy: tak. Biorę tekst i go interpretuję. Jest pewna wulgata, co do której nie ma się co spierać. Wydaje mi się, Panie Profesorze, że spory o to, czy istnieje tekst obiektywnie, czy są tylko konstrukcje czy fakty, w ogóle nie dotyczą tego, czym my się zajmujemy. Książki oczywiście istnieją. To nie jest tak, że tu są jakieś miraży. W ogóle nie spotkałem się z taką teorią, która by mówiła, że fakty nie istnieją, że to są tylko konstrukcje.

H. M.: Zwolennicy konstrukcjonizmu nie mówią, że fakty nie istnieją. Przynajmniej ci, których znam. Powiadają, że fakty istnieją, ale my możemy co najwyżej tworzyć ich konstrukcje.

M.P. M.: Ale też niewiele więcej możemy, moim zdaniem. Istnieją teksty, ale teraz my zaczynamy je interpretować. Każdy z nas robi to inaczej, choć zakładam, że istnieje wspólny obszar wyuczalnych procedur. Tyle tylko, że ten wspólny obszar jest ledwie początkiem roboty interpretacyjnej.

H. M.: Zgoda. Mnie tylko brak w tych rozważaniach i rozważaniach innych, bliskich Panu teoretyków, odpowiedzi na jedno pytanie: czy istnieją sposoby rozróżnienia konstrukcji bardziej przystawalnych do faktów i mniej do nich przystawalnych, lub wręcz zupełnie aberracyjnych.

M.P. M.: Moim zdaniem istnieją, tyle tylko, że nie używałbym określenia „fakty”, dobrze bowiem wiadomo, że słowo fakt, *factum*, oznacza dosłownie „coś zrobionego”. Pytałbym raczej o to, jak uzasadnić ważność tego, co zrobione.

H. M.: No i o to tylko chodzi.

M.P. M.: Sposoby te nie są jednak dane z góry, lecz „urabiają się” w dyskusji, na przykład w praktyce seminaryjnej.

H. M.: W moich lekturach prac najnowszych teoretyków (zresztą niezbyt obfitych, bo się do nich zniechęciłem, a jak będzie okazja, to powiem dlaczego), otóż w moich lekturach nie spotkałem się z próbami sformułowania zasad dobrych obyczajów w interpretowaniu dzieła literackiego.

M.P. M.: To trzeba będzie napisać takie tezy. Zbiór zasad. Kodeks interpretatora.

R. N.: Chciałem włączyć się do tej części dyskusji, która dotyczyła stylu i takiej apokaliptycznej czasem retoryki, a czasem tak tylko odbieranej, bo uważam ją za jedno z głównych źródeł nieporozumień, które to z kolei nieporozumienia czasem są, jak myślę, celowo wywoływane i przez zwolenników, i przez przeciwników, żeby stworzyć wrażenie silnego układu negatywnego, w relacji do którego można by określić własną tożsamość. Czasem to ma czysto pragmatyczne skutki. Chciałem też powiedzieć, że można na ten ostatni okres patrzeć dużo bardziej optymistycznie.

Choć sobie obiecałem, że nie będę używać słowa postmodernizm, to teraz zrobię wyjątek, żeby powiedzieć, iż, wyjąwszy to felietonowe rozumienie, można śmiało stwierdzić, że za sprawą wiązki rozmaitych teorii postmodernistycznych wróciła właściwie problematyka, która była nieobecna od wielu lat; problematyka najściślej związana z odniesieniami literatury, sztuki do tego, co zewnętrzne wobec niej: do podmiotu, do rzeczywistości, do doświadczenia, do społeczeństwa, ras, płci, odmienności. To wszystko, co dotychczasowe teorie, uznawane za nowoczesne i paradygmatyczne, uważały za zewnętrzne i co marginalizowały, teraz wróciło jako centralna (można śmiało tak powiedzieć) problematyka literatury. Oczywiście, jest to rozumiane inaczej i w sposób niekiedy tak odmienny, że bywa traktowane jako zaprzeczenie tradycyjnych wartości humanizmu, humanistyki itd.

Sądzę, że to wynika z bardzo wąskiego rozumienia humanizmu i humanistyki; natomiast myślę, iż staje się coraz bardziej oczywiste, że to, dzięki czemu literatura może obronić swój status, swoją pozycję, to nie jest jej wiza jako autonomicznej fikcji odgródzonej, odizolowanej od rzeczywistości, lecz raczej coś przeciwnego: jej esencjalny udział w tym, co dla ludzkiego doświadczenia najważniejsze, co pozwala je wyrażać, nazywać i rozumieć.

Proponuję więc spojrzeć z tej bardziej optymistycznej perspektywy na ów bałagan myślowy czy rozgardiasz w różne strony prowadzących koncepcji.

T. W.: *Taka poprawa samopoczucia dobrze nam zrobi, ale chciałabym wrócić do zawieszonego, a istotnego problemu, do trybu argumentacji. Zgadza się na istnienie faktów, ale równocześnie przyjmujemy pogląd, że mamy do nich dostęp nie wprost, lecz przez sieć konstrukcji, które sami tworzymy. Powraca więc znowu w nieco innej formie pytanie, które postawił profesor Markiewicz: jak odróżnić konstrukcje bardziej adekwatne od mniej adekwatnych? A może w ogóle nie chodzi o adekwację i pytamy jedynie: która konstrukcja jest ładniejsza lub bardziej interesująca od pozostałych?*

M.P. M.: Nie widzę nic złego w tak postawionym pytaniu.

T. W.: *Ale stawiasz je w ten sposób czy nie?*

M.P. M.: To jest trudne zagadnienie...

R. N.: Koherencja jest tradycyjnym wariantem modelu prawdy.

M.P. M.: Wydaje mi się, że koherencyjna teoria prawdy jest rzeczą elementarną. Jeżeli przedstawiam tekst, w którym dyskutant wykaże mi sprzeczności, nielogiczności, błędy w rozumowaniu, sylogizmy itd., itd., to one automatycznie osłabiają wagę tego, co mówię. Wtedy przyznaję się do tego, że tekst ten jest źle skonstruowany.

T. W.: *Ależ logika wyvodu to jest wymóg elementarny...*

M.P. M.: Nie mam na myśli elementarnej koherencji, myślę o niej na poziomie całego argumentu. To jedna rzecz. Druga – tu odwołałbym się do tego, co Janusz Sławiński mówi o interpretacji: że istnieją takie trzy modele czy poziomy – poziom wulgaty zakłada wszystko to, co jest poza dyskusją; później jest poziom teorii i tu, na poziomie teoretycznym, już się zaczyna dywergencja, już zaczynają się rozchodzić języki, wreszcie mamy poziom interpretacji, który jest poziomem nieoczywistości. I wszystko zależy od tego, na którym poziomie jesteśmy, co poddajemy pod dyskusję. Dyskusja na poziomie faktów i konstrukcji jest, jak sędzę, dyskusją na poziomie wulgaty. To właściwie nie powinno być przedmiotem dyskusji. Im poziom wyższy, tym więcej spraw do dyskusowania, tym wyraźniej i częściej musimy się tłumaczyć z założeń, które przyjmujemy.

T. W.: *Ale czy tak rzeczywiście jest? Czy musimy się tłumaczyć z założeń? Czy nie jest tak, że przestajemy się z nich tłumaczyć, bo się wzajemnie nie pytamy o założenia? To istotna sprawa.*

M.P. M.: Gdy biorę interpretację – posłużę się przykładem z praktyki dydaktycznej, więc interpretacją tą będzie praca magisterska dotycząca fetysyzmu, której jeden z rozdziałów przedstawia fetyszystyczną interpretację *Kosmosu* Witolda Gombrowicza – otóż, gdy czytam tę interpretację i ona mnie przekonuje, to znaczy, że jest dobrze argumentowana. Tworzy najpierw duży argument teoretyczny, potem pokazuje, jak można te wszystkie klocki poukładać w przekonujący wzór. Jestem zdania, że to jest bardzo dobra interpretacja, chociaż sam takiej interpretacji nie przedstawiam, przedstawiam inną interpretację. Gdybym sądził, że moja interpretacja jest najlepsza, musiałbym tamtą odrzucić.

T. W.: *Problem w tym, czy ta nowa interpretacja znosi twoją, czy jej zaprzecza.*

M.P. M.: Nie, ona tylko poszerza nasze rozumienie tekstu, pokazuje coś innego, wykracza poza już znane punkty widzenia. Okazuje się, że jest możliwa interpretacja *Kosmosu* homoseksualna, fetyszystyczna, lesbijska, która powiada, że między Kasią a Leną są relacje lesbijskie. To się da pokazać, chociaż Pan Profesor jako interpretator interpretacji *Kosmosu* na wiele rzeczy wskazał jako na bezsensowne, to znaczy takie, które nie dadzą się uzasadnić.

R. N.: Rzeczą dla tej kwestii centralną jest problem znaczenia tekstu, jego potencjału semantycznego. Wszystko sprowadza się do tego, w jakim stopniu nasze interpretacje są aktualizacją tego potencjału, w jakim zaś poza niego wykraczają. To jest tradycyjna problematyka, obrosła obfitą literaturą przedmiotu, choć nie ma tu jednak jakichś powszechnie podzielanych przeświadczeń czy odpowiedzi. Moje sugestie w tej sprawie skłaniałyby się ku takiemu pogładowi: trzeba by założyć coś w rodzaju nieświadomości tekstu, czyli takiego poziomu jego semantyki, który byłby efektem aktualizowania się tego znaczenia w rezultacie ukontekstowania. Konteksty, w które tekst wchodzi, są – z jednej strony – niezbędne dla aktualizacji jego semantyki, a z drugiej – niemożliwe do ograniczenia. Więc efekt – a to dotyczy ontologicznej struktury dzieła literackiego – jest taki, że wtedy, kiedy opór semantyki nie jest duży, możemy wprowadzić najbardziej nawet ekstrawagancki kontekst. Bo czasem zdarzają się takie sytuacje – Pan Profesor jest mistrzem w ich wychwytywaniu – że tekst wyraźnie mówi co innego i narzucone mu interpretacje niejako ześlizgują się z niego, nie mając zahaczenia w jego semantyce. Inaczej dzieje się wtedy, kiedy nowe, czasami bardzo dziwaczne interpretacje prowadzą do uruchomienia, zaktywizowania jakiegoś uśpionego pokładu czy osadu znaczenia tekstu, który jakby wychodzi na powierzchnię i staje się czytelny oraz zrozumiały dzięki osadzeniu w dotąd nie wyzyskiwanym kontekście. W tym sensie mówię o nieświadomości. Że to jest nieprzewidziane, niezakładane świadomie przez autora, że to jest efekt właśnie tego ontologicznie niestabilnego statusu dzieła literackiego w pokładach kontekstu.

M.P. M.: Ja jestem gorącym zwolennikiem takiej koncepcji, ale ona nie jest niewinna. Przyjęcie metafory nieświadomości wprowadza proces interpretacji w przestrzeń psychoanalitycznego seansu, co zakłada nie tylko kontekstualizację potencjalnego znaczenia, lecz także osobę psychoanalityka. Wchodzą więc tu w grę dwa inne jeszcze procesy: transfer i kontrtransfer. To znaczy, że psychoanalityk jest tym, który dzięki umiejętnemu sterowaniu procesem aktywizacji znaczenia ma na niego wpływ. Znaczenia, choć obecne w tekście, nie ujawniają się więc same z siebie, jest tam niezbędna mocna interwencja „terapeutyczna”, która tę nieświadomość pozwala aktywizować. Bez tej interwencji spoczywałaby ona na zawsze w jakiejś utajonej przestrzeni i nie zostałaby poznana. Więc kontekstualizacja naprawdę zakłada bardzo mocną obecność tego, kto to robi, i celu, w jakim to jest robione.

R. N.: W tym sensie tekst jest indagowany, wysłuchiwany hermeneutycznie w tym, co ma do powiedzenia.

M.P. M.: To też dowodzi, że znacznie łatwiej powiedzieć, która interpretacja jest zła, niż zrobić dobrą interpretację.

H. M.: Na pewno. Wspomniane tu pojęcie nieświadomości tekstu zresztą już funkcjonuje w psychoanalitycznej teorii literatury (wprowadził je Bellemín-Noël). Nie mam nic przeciwko tym interpretacjom, które jak gdyby indukują, ożywiają nieświadomość tekstu. Tylko że dla celów naukowych na takie interpretacje można sobie pozwolić, gdy zrobi się już interpretację *lege artis*, interpretację adekwatną historycznie, to znaczy uruchamiającą prawdopodobny kontekst macierzysty danego utworu. Otóż moją troską i irytacją jest właśnie powszechne, przez nikogo niekontrolowane lekceważenie owych elementarnych norm poszanowania semantyki tekstu.

Czytam oto nową książkę profesora Zbigniewa Majchrowskiego *Mickiewicz i wiek dwudziesty*. Jest tam między innymi szkic o Chochole, i autor powiada tak: podstawowym nieporozumieniem jest założenie, że róża stanowi duszę Chochola. Wprawdzie Chochół mówi, że jest okrytym słomą kwiatem róży, ale ja sądzę, że to Chochół uzurpacja. Na jakiej podstawie badacz insynuuje Chochółowi mataczenie? Przecież nie tylko on tak się określa; także Rachel zaprasza go na wesele jako „różę owitą w chochoł ze słomy”. Profesor Majchrowski teżę swą, sprzeczną z tekstem dramatu, beztrąsko proklamuje, nie usiłując jej uzasadnić.

R. N.: Ja się z tym zgadzam. To jest rzeczywiście efekt takiego przyjaznego klimatu dla tej retoryki proklamacji, która zastępuje tryb argumentacyjny i która jak gdyby zezwala na mówienie, co komu przychodzi do głowy. Nawet jeśli potraktować ten przykład jako wpadkę skądinąd solidnego historyka literatury, przyznać trzeba, że taka tendencja istnieje. Myśmy jednak z Michałem mówili o troszce innej sytuacji, takiej, kiedy uznaje się pewien obraz rekon-

strukcji historycznej kontekstu i znaczenia dzieła za obraz obiektywny, pozainterpretacyjny. A wielokrotnie się okazywało, że to, co pewna epoka uważa za historyczny horyzont, czy podstawowe przeświadczenie tkwiące w dziele, jest iluzoryczne albo oparte na pewnych późniejszych, więc anachronicznych przeświadczeniach dotyczących danej epoki, zachodzących w niej relacji międzyludzkich, ogólnego klimatu. Takie więc indagowanie tekstu może również przywrócić stłumione historyczne znaczenia tkwiące w tekście i kontekstach, do których się odwołuje. Ale oczywiście może również zniekształcić znaczenie, jeśli się okaże, że mamy do czynienia z narzuceniem pewnego zdecydowanie obcego obrazu...

M.P. M.: To zniekształcenie wydaje mi się jednak kwestią sporną. Jak wyznaczać granice tego zniekształcenia? Istnieje strefa oczywista: wiedzy, jaką powinni mieć wszyscy zajmujący się literaturą, i której brak pan profesor Markiewicz bezlitośnie nam wytyka. Natomiast w interpretacji tekstu, która jest procedurą bardzo złożoną, tę granicę wyznaczyć trudniej. Samo pojęcie nieświadomości tekstu zakłada nieuchronnie proces zniekształcania. To jest tak, jak praca snu wedle Freuda, która polega na przekształcaniu, przemieszczaniu i przesuwaniu z treści utajonych do treści jawnej. Praca interpretatora polegałaby więc na odkształcaniu odkształcenia. Ale ten proces odkształcania odkształcenia nigdy nie jest wiarygodny do końca. W tej sytuacji błąd jest jakby wpisany w działania interpretacyjne. Nie chodzi o pomyłkę dotyczącą faktów, ale o błąd bardziej generalnej natury. Skazani jesteśmy na błąd z powodów metafizycznych czy ontologicznych. Możemy zacieśniać granice tej pomyłki, ale pomyłki, która nigdy nie będzie z tym błędem zbieżna, bo to są inne poziomy. Teksty mają błąd wpisany w swoją istotę, bo gdyby tak nie było, interpretacja byłaby niemożliwa, wszyscy bowiem, mówiąc o jakimś tekście, mówiliby to, czym on jest naprawdę, jaki naprawdę jest jego sens. W tym znaczeniu wypowiadaliby „prawdę” danego tekstu, tym samym niwecząc rozmowę na jego temat i szansę dla wszystkich interpretatorów. Myślę, że Nietzsche miał rację, mówiąc, iż to dobrze, że prawda przed nami się skrywa, gdyż jej ujawnienie może być bliskie końca naszych dziejów. My te błędy chcemy usuwać, ale ich nie usuniemy, bo możemy usuwać tylko pomyłki, które robią interpretatorzy.

T. W.: *A czy problem naszych czasów nie polega właśnie na tym, że, po pierwsze, nie próbujemy usuwać błędności, lecz ostentacyjnie ku niej zmierzamy, po drugie, co z tamtego wynika, że nie staramy się wytyczać granic dopuszczalności błędu?*

M.P. M.: Tu się zgadzam z uczestnikami dyskusji co do tego, że proklamacyjny charakter wypowiedzi naukowej zastępujący rozbiór tekstu literackiego, jak i argumentację jest na dłuższą metę zabójczy. Potwierdzi to każdy,

zwłaszcza ten, kto miał do czynienia z dydaktyką akademicką. Tam wszystkie sztuczki i oszustwa natychmiast wychodzą na jaw.

T. W.: *To jest jedna ze spraw, którą także chciałam poddać pod rozprawę. Wszak duch epoki, czyli to, co się dzieje w metodologii badań na wysokim poziomie dyskursu, decyduje potem o kształcie dyskursów na niższych poziomach, w tym także o praktyce dydaktycznej. Rozmawialiśmy o tym niedawno z panem doktorem Tomaszem Kunzem i on nie krył swojej, jako nauczyciela akademickiego, bezradności: „Ja właściwie nie wiem, co mam dać studentom do przeczytania, żeby ich nauczyć czytania tekstu. Jak znaleźć wzorcowy przykład takiej jego lektury, który byłby dostatecznie prosty, a zarazem odkrywczy i pouczający. Nie wiem, do jakich kanonów się odwołać, żeby ich czegoś naprawdę nauczyć”.*

Tomasz Kunz: Profesor Markowski użył określenia „wspólny, wyuczalny obszar”. Mam wątpliwości, czy taki obszar istnieje i czy rzeczywiście funkcjonuje w naszej praktyce dydaktycznej, ponieważ ten ekscentryczny obraz profesjonalizmu naszej dyscypliny, o którym tu była mowa, stanowi niesłychanie wygodne alibi dla wielu studentów, którzy w sposób zupełnie bez troski i nieświadomy mieszają – nie łączą, ale mieszają – słowniki pojęciowe przynależne całkowicie odmiennym koncepcjom teoretycznym.

M.P. M.: Trzeba im więc to wytłumaczyć, że postępują niesłusznie. Na tym polega profesjonalizm.

T. W.: *Ale oni widzą, że starsi też tak postępują...*

T. K.: Oni się powołują na tych badaczy, którzy dzisiaj są dla nich autorytetami. I wydaje im się, że robią dokładnie to samo, co tamci. Nie mają przy tym świadomości, że istniało kiedyś jakieś centrum, które stało się obiektem ataku ze strony tych właśnie nowatorskich dzisiaj dyskursów, niegdyś marginalizowanych, bo nastąpiło przemieszczenie, o którym wspominał Pan Profesor Markiewicz. Ci młodzi ludzie są przygotowani do egzystowania w tej nowej rzeczywistości; nie interesuje ich poznawanie tego, co uległo w ich mniemaniu rozproszeniu, zostało – według nich – zdekonstruowane na tyle skutecznie, że w ogóle przestało obowiązywać i nie zasługuje już na uwagę. Oczywiście, są tacy, którzy dochodzą do tego punktu dzięki własnej refleksji, ale to rzadkie przypadki. Mam wrażenie, że koszty tej rezygnacji z centrum i z wyrazistych standardów profesjonalności naszej dyscypliny ponoszą studenci, których ogromna rzesza opuszcza mury uniwersytetu zupełnie nieprzygotowana do mówienia o literaturze, do interpretowania literatury. Co oczywiście ma swoje konsekwencje, gdy idzie o poziom nauczania w szkole średniej. I koło się zamyka, ponieważ ich uczniowie później wracają na uczelnię jako studenci...

R. N.: Zgadzam się tutaj z Tomkiem. I o ile do tej pory starałem się być optymistą, tak tutaj widzę problem rzeczywiście kryzysowy: z jednej strony, ta moda na proklamowanie własnego stanowiska przy nieoficjalnym objawianiu niechęci do zapoznawania się z innymi, istniejącymi wcześniej poglądami na dany temat, z drugiej – mechaniczny prezentyzm polegający na mieszaniu najrozmaitszych języków i imitacyjnym albo pseudoimitacyjnym jedynie odtwierzaniu cudzych poglądów przy braku wiedzy o ich odrębności – metodologicznej, założeniowej, światopoglądowej. Nie wspomnę już o klęsce plagiatu, co jest nowym problemem wynikającym z nowych warunków cywilizacyjno-technologicznych. Trudność nauczania bierze się dzisiaj stąd, że nie można się odwołać do powszechnie uznawanych za obowiązujące standardów zachowania, ze względu na to, że te standardy okazały się bardzo silnie uwarunkowane założeniami metodologicznymi, światopoglądowymi i jeszcze innymi, co sprawiło, że przestały służyć wyznaczaniu obszaru wspólnego. W związku z tym cały ciężar poprawnego zachowania się przenosi się na etykę jednostki. I jest to trudne. Oczywiście, można powiedzieć, że dźwigamy piękny obowiązek edukatora, polegający na tym, by wpoić w młodego człowieka określone normy i powinności, których tamten musi się trzymać niezależnie od tego, za czym będzie chciał obstawać w sensie teoretycznym, przedmiotowym czy innym. Powinien mieć zinternalizowane pewne zasady przyzwoitości, coś na kształt dobrych obyczajów, acz skuteczne wpojenie tego jest niezmiernie trudne.

M.P. M.: Nie sędzę, żeby było aż tak źle z tą intelektualną przyzwoitością. Skądinąd to przeniesienie obligacji do wnętrza jednostki, co proponuje Ryszard, wydaje mi się znacznie skuteczniejsze, niż przyjęcie obiektywnej normy naukowej, choć niewątpliwie trudniejsze.

H. M.: Ten apel do etyki... Panowie wystrzegają się jednak sformułowania zasad etycznych, które powinny kierować badaczem literatury.

R. N.: Opracowanie kodeksu wisi w powietrzu.

H. M.: Można się z tego śmiać. Niemniej sam apel do etyki tylko ogólnie sformułowany niewiele da. Nie można pilnować siebie tak w ogóle – nie wiedząc, do czego trzeba dążyć i czego się wystrzegać. Niektórym zresztą wyszłoby to na zdrowie, gdyby trochę się wobec samych siebie zdystansowali.

T. W.: *Byłoby pięknym zwieńczeniem naszego spotkania, gdybyśmy spróbowali sformułować kilka zasad takiego kodeksu etycznego. Czy też musimy przystać na to, że nie dadzą się one sformułować?*

M.P. M.: Nie, dlaczego? Pan Profesor przypomina nieustannie zasadę: przeczytaj wszystko. Ryszard Nycz także powtarza, że gdy ktoś podejmuje

interpretację tekstu, powinien przeczytać wszystko, co do tej pory na temat tego tekstu napisano. To jest elementarna zasada.

T. W. *Bardzo rzadko stosowana w praktyce...*

M.P. M.: Jest to jednak zasada, której powinniśmy się trzymać i która właściwie nie powinna być przedmiotem dyskusji. To, że często bywa łamana, to inna kwestia.

H. M.: Zasada to na pewno pożyteczna, bo zapobiega odkrywaniu Ameryki po raz drugi i kapitulacji przed trudnościami już przez poprzedników usuniętymi. Niemniej już w dziewiętnastym wieku w stosunku do niektórych tematów jej realizacja była niemożliwa; tym bardziej, i to w znacznie szerszym zakresie, jest to niemożliwe dzisiaj. Toteż nie przywiązuję do niej takiego znaczenia, jak się Państwu wydaje.

R. N.: Sądzę, że inną taką elementarną zasadą jest przeświadczenie, iż to, co tekst mówi, jest na pewno czymś innym, niż to, co wcześniej już wiedział interpretator. Musi się przyjąć założenie, że tekst nie służy jedynie do rzutowania przeświadczeń czytającego i że ma nam coś do powiedzenia w sensie – najzwyczajniej mówiąc – poznawczym. Że zajmujemy się literaturą głównie po to, żeby się czegoś o sobie i o świecie dowiedzieć. To postulat staroświecki i zdroworozsądkowy, ale dzisiaj często trudny do spełnienia.

H. M.: Z wielką satysfakcją słucham tej wypowiedzi profesora Nycza. Od początku znaczna część mojego namysłu teoretycznego dotyczyła właśnie pytania – jak literatura spełnia funkcję poznawczą? Ale samo przeświadczenie o tym, że funkcję tę spełnia, nie jest jeszcze regułą, choćby najogólniejszą, pozwalającą tę funkcję badać.

Wracając do sugestii, by podjąć próbę sformułowania kilku zasad kodeksu etycznego literaturoznawcy – powiem, że w moim pojęciu nic mądrzejszego niż stare, podstawowe zasady hermeneutyki nie wymyślono. Opierałem się na nich, gdy nie tak dawno próbowałem sformułować pozytywne i negatywne kryteria poprawności interpretacyjnej. Proszę wybaczyć, że o tym przypominam, ale tam znajduje się moje *credo* w sprawach, o których mówimy. I nie chciałem go tu powtarzać, ale też nie chciałem sprawiać wrażenia, że go nie mam.

T. W.: *Warto może byłoby powrócić do kwestii dyskursu profesjonalnego. Dyskurs strukturalistyczny nie należał do łatwych; był „gęsty”, głęboko nasycony trudną terminologią językoznawczą, ale znaczenie tych terminów dawało się z grubsza ustalić. Dominujący dziś dyskurs interpretacyjnego liberalizmu, często odwołujący się do subiektywności badacza, świadomie, a nawet manifestacyjnie zacierający granice między literaturą a wypowiedzią metalitera-*

cką, między poezją a komentarzem, silnie zmetaforyzowany, trudniej poddaje się kontroli umysłu.

H. M.: To, co mnie martwi i sprawia trudności, to nie tyle metaforyzacja, ile zjawisko jej pokrewne, ale inne: beztroska wieloznaczność używanych terminów, a w związku z tym – nieobecność ich wyraźnej definicji. Ktoś obliczył, że w *Strukturze rewolucji naukowych* Kuhna słowo „paradygmat” występuje w przeszło dwudziestu różnych znaczeniach. Na pewno nie ułatwia to kontaktu z takimi książkami. Może moje odczytanie nie jest wystarczające, ale muszę powiedzieć, że nie znalazłem nigdzie precyzyjnej definicji, co to są wielkie narracje. Nie wiem, które narracje zasługują na to, by nazwać je wielkimi. Nie wiem także, dlaczego nazywa się narracjami pewne idee niespełniające kryteriów narracyjności ustalonych przez narratologię. Z nabożnym respektem traktujemy niestaranne i mgliste sformułowania, jeśli sygnowane są sławnym nazwiskiem. Czytam np. takie oto stwierdzenie Hillisa Millera: „Dobre badanie literackie nie jest ani czystą teorią, ani czystą *praxis*, ani praktyczną krytyką, ani mieszaniną tych dwóch, ani czymś pośrednim pomiędzy nimi, ale rodzajem interpretacyjnego języka, który jest ponad tą fałszywą i mylną opozycją”. Co to znaczy?

T. W.: *Przekonanie, że im ciemniej, tym jaśniej, staje się coraz powszechniejsze...*

H. M.: Rezultat jest taki – przytoczę tutaj słowa nieznanego mi bliżej pani albo może i pana Katha Pollitt, cytowanego w znanej książce Sokala – że „sami postmoderniści nie rozumieją swoich prac i przebijają się przez tekst, poruszając się od jednego znanego pojęcia do innego, niczym żaba, która pokonuje mętny staw, skacząc z liścia na liść”.

R. N.: Tu muszę jakoś się oprzeć wymowie tych faktów, bo ta książka Sokala wydaje mi się pamfletem, który deformuje obraz całej dyscypliny; można by tak samo pokazać strukturalistów.

H. M.: Ależ ja nie powołuję się na książkę Sokala, tylko na cytaty w niej umieszczone!

R. N.: Jeśli by poddać krytyce wszelki rodzaj hermetycznego języka, uleganie autorytetom, posługiwanie się w pewnym „żargonem” wewnątrzdiscyplinowym czy charakterystycznym dla jakiegoś kierunku, to żaden z dotychczasowych kierunków nie wyszedłby zwycięsko z owej próby. I niewolnicze przejmowanie za kimś pojęć bez znajomości ich znaczenia, i styl formularny sprowadzający się do klepania tych samych formułek – to są nieszczęścia, które towarzyszyły każdej formacji. To rodzaj piany, która zawsze się unosi na obrzeżach aktywności każdej teorii. Rozumiem polemiczną trafność sięgania

po te argumenty, ale nie przeceniałbym ich merytorycznej skuteczności. Nie jest to argument silniejszy od tych, jakie można by wysunąć pod adresem jakiegokolwiek innej teorii czy orientacji.

Sformułowanie Hillisa Millera rzeczywiście jest niezbyt fortunne w sensie, powiedziałbym, stylistycznym. Wyraźna jest jednak pewna intuicja, która dzisiaj staje się powszechną skłonnością, żeby próbować wyrazić swój własny, jakoś uzasadniony argumentacyjnie pogląd na to, czym jest literatura, czym są badania literackie. W sytuacji braku akceptowalnych wzorów zachowania, braku paradygmatu zdrową, bardzo zdrową skłonność stanowi wyłożenie w sposób, w jaki potrafimy, własnego poglądu na te sprawy. Skoro nie ma powszechnej zgody, to próbujemy powiedzieć, co sami sądzymy, albo dojść do jakiegoś poglądu, którego moglibyśmy bronić. W sprawie metaforyzacji też byłbym ostrożniejszy z surowym osądem. Chyba każde z pojęć używane w literaturoznawstwie (czy w ogóle w humanistyce) ma swój aspekt metaforyczny, który nigdy nie został całkowicie zatarty i który co jakiś czas jest aktywizowany, zwłaszcza przez różnych dysydentów pragnących pokazać, że właśnie to znaczenie, które oni aktywizują, jest tym właściwym w danej dziedzinie – czy to literaturoznawstwie, socjologii czy psychologii.

M.P. M.: Ryszard Nycz pokazał to niedawno na przykładzie doświadczenia. Jak owa kategoria od dawna, od wieku szesnastego jest silnie zmetaforyzowana i każdy jej kontekst interpretacyjny prowadzi w inną stronę. Doświadczenie – jeśli weźmie się pod uwagę sam kontekst filozoficzny – może oznaczać dzisiaj wszystko: od empiryzmu angielskiego aż do dekonstrukcji. I nie widzę w tym nic złego.

H. M.: W związku z tym, co mówił profesor Nycz o hermetyzmie języka: z tego, że zawsze było źle, nie wynika, że źle musi być i teraz. Wydaje mi się zresztą, iż jest gorzej, niż było dawniej. Dowód na to – zapotrzebowanie na egzegetyczne prace, którymi obrastają wypowiedzi wybitnych teoretyków współczesnych. U nas sytuacja przedstawia się korzystniej, ale muszę powiedzieć, panie Ryszardzie i panie Michale, że niektóre fragmenty waszych najnowszych prac są dla mnie za trudne i nie w pełni zrozumiałe.

Pracy profesora Nycza, do której odwoływał się profesor Markowski, nie czytałem. Nie wątpię o jej wartości, zadaję sobie jednak pytanie: jeżeli doświadczenie może znaczyć wszystko, jaki jest pożytek z jego zastosowania?

M.P. M.: Taki, że za każdym razem winniśmy się opowiedzieć za którąś z wersji, nikt bowiem z nas nie może powiedzieć, że obejmuje całość wiedzy i całość kontekstów jej użycia. A słowo „idea” na przykład nie oznacza mnóstwa różnych rzeczy? Odniosę się jeszcze do zacytowanego tu Hillisa Millera. Otóż po polsku brzmi to źle, ale *practical criticism* ma swoje bardzo mocne znaczenie w kontekście anglosaskim. U nas *practical criticism* brzmi absurdalnie, jak jakaś tautologia. Tymczasem jest to tytuł książki I.A. Richardsa,

która zrobiła ogromną karierę. W kontekście angloamerykańskim rozumie się przez to pewien sposób obcowania z tekstem.

H. M.: Proszę wybaczyć, ale wyjaśnienie, że pożytek ze stosowania wszystkoznaczącego wyrazu „doświadczenie” jest taki, iż powinno się za każdym razem opowiedzieć za którąś z tych wersji – nie jest żadnym wyjaśnieniem. Obawiam się przy tym, że wyraz „doświadczenie” stanie się po prostu tytułową nalepką nobilitującą dowolną pracę tematologiczną. Mówiąc półżartem – o meblach w powieści Orzeszkowej będzie się pisało pod tytułem „Doświadczenie przestrzeni wewnętrznej w twórczości Orzeszkowej”, a o relacjach między Stasiem a Kalim – pod tytułem „Doświadczenie tożsamości poprzez narrację Innego” itd.

A co do „praktycznej krytyki” – to książkę Richardsa znam i nie „czepiałem się” Hillisa Millera dlatego, że posłużył się owym terminem. Chodziło mi o to, że podaje on nam do wierzenia zdanie, w którym zanegowane zostały wszystkie relacje między teorią a praktyką badań literackich i w rezultacie dochodzi do definicji, iż dobre badanie literackie stanowi rodzaj interpretacyjnego języka, który jest ponad tymi opozycjami. Po pierwsze, nie mogę się zgodzić z tym, że badanie literackie zarówno jako czynność, jak i jako rezultat jest „językiem” w znaczeniu powszechnie przyjętym, a poza tym rodzaj interpretacyjnego języka, jego *differentia specifica* nie została przez Millera podana.

M.P. M.: Na to mógłbym odpowiedzieć, że należałoby po prostu czytać jego teksty interpretacyjne, które są egzemplifikacją tej tezy, a brzmi ona tak, a nie inaczej z powodu ekonomiczności wywodu. Nie możemy za każdym razem powtarzać wszystkiego *ab ovo*.

H. M.: Dobra rada, ale zechce Pan zauważyć, iż ekonomiczność swego wywodu posunął Hillis Miller tak daleko, że nie wymienił żadnej konkretnej cechy interpretacyjnego języka. Dlatego uważam tę definicję za niefortunną. A przy tym nie jest to jakaś mimochodem rzucona uwaga, lecz programowe określenie „funkcji teorii literatury w czasach obecnych”. Miller uznał je za potrzebne; uważał widać, że jego teksty interpretacyjne, do których Pan odsyła, są pod tym względem niewystarczające.

R. N.: Słowo w kwestii, którą tu pośrednio wywołałem, czyli doświadczenia, bo czuję się za to odpowiedzialny. W Polsce problematyka ta narasta od jakiegoś czasu, staje się coraz bardziej istotna. Książka, o jakiej była mowa, to rezultat konferencji, która zgromadziła reprezentantów kilkunastu dyscyplin. Był to więc przejaw tego, co do tej pory nazywano kontaktami interdyscyplinarnymi, a co może lepiej nazwać transdyscyplinarnymi, bo wtedy się kładzie nacisk na to, co jest wspólnym terytorium humanistyki w ogóle. Ta wieloznaczność doświadczenia bierze się między innymi stąd, że każda

dyscyplina inaczej je rozumie i dla każdej oznacza ono coś innego, pomijając już historyczną zmienność.

Jest wiele możliwości, które będziemy testować, bo problem narasta. Z jednej strony, doświadczenie stanowi taką kategorię, która może być traktowana jako wskazująca na wspólne terytorium dla wielu dyscyplin, a z drugiej – może też być sygnałem tego, że doświadczenie, które do tej pory nie było definiowane, bo uznawane za oczywiste, jest swoistym pojęciem detektorem. Gdy czytamy książki historycznoliterackie, widzimy, że w nich aż roi się od tego słowa, które było „niewidoczne”, bo było traktowane jako czysto neutralne, opisowe, nieznaczące, jako coś, co jedynie pomaga w argumentacji. To ukazało swoją problematyczność także dlatego, że w tym, co nas interesuje, wszyscy zaczynają wychodzić poza to, co uchwytne pojęciowo i językowo. A właśnie doświadczenie wskazuje nam na to, co literatura, ale też inne media mogą powiedzieć o tej rzeczywistości, którą określić by należało jako przed-, para- czy pozajęzykową; a co język rejestruje w sposób rozmaity – raz pełny, a raz szczątkowy, ułomny, negatywny.

T. W.: *Powróćmy do konstatacji profesora Nycza, że wszelkiego rodzaju języki i metody zawsze na swych obrzeżach ulegają deformacji, co prowadzi do pojawienia się różnych aberracyjnych form dyskursu. Może tak się dzieje także dlatego, że nie dość się nawzajem pilnujemy i pozwalamy na upowszechnianie się takich aberracji? Może właśnie owa zawodowa etyka, o której tu była mowa, nakazywałaby lepiej strzec tego pola profesjonalnego dyskursu? Wytyczać jakąś – z konieczności prowizoryczną i nieostrą – ale jednak granicę pomiędzy „trudną mową” a bredzeniem?*

R. N.: Niezwykle ważna, powiedziałbym – instytucjonalna rola Janusza Ślawińskiego polegała właśnie na jego skuteczności w wymuszaniu stosowania pewnych poprawnych, akceptowalnych racjonalnie sposobów uzasadniania głoszonych poglądów.

T. W.: *Jest jeszcze jedna rzecz, która mi nie daje spokoju, mianowicie uwaga pana profesora Markiewicza, że przestał czy przestaje czytać książki poświęcone teorii i metodologii literatury. Dlaczego tak się stało?*

H. M.: W tym powiedzeniu była pewna przesada, bo – jak mówi profesor Markowski – jeżeli chce się swoje stanowisko wyrazić w sposób dobitny, to należy przesadzać. Naprawdę to jest tak, że – po pierwsze – mało teraz się zajmuję problemami teoretycznymi, bo niewiele mam w tych sprawach do powiedzenia, a więc i mniej czytam z tej dziedziny. Po drugie – wiele książek rekomendowanych jako teoretycznoliterackie pozostaje z literaturą w pośrednim jedynie związku (może jeszcze o tym więcej powiem). Po trzecie – lektury postmodernistyczne były dla mnie trudne, nie dawałem sobie rady ze zrozumieniem wielu ich fragmentów, między innymi na skutek zamierzonej ich

zawilości językowej, a także na skutek tego, że terminy w tym samym tekście używane były w najrozmaitszych, a niewyjaśnionych znaczeniach. A jeżeli znajdowałem już jakieś definicje, okazywały się one w wielu wypadkach tak ułomne, że stanowiły w moim przekonaniu krok wstecz w stosunku do definicji już funkcjonujących. Mówiło się tu dużo o etyce badacza. W związku z tym przypomina mi się maksyma Vauvenarguesa: „Jasność jest uczciwością filozofii”. Obawiam się, że dla wielu autorów tych książek takie kryterium byłoby bardzo kłopotliwe. Czwarty powód jest taki, że zanim zapoznałem się bliżej z jakąś teorią, to znajdowałem w „Tekstach Drugich” artykuł profesor Burzyńskiej (której zresztą zawdzięczam zrozumienie wielu spośród książek, o których tu mówię), gdzie autorka podaje informację z ostatniej chwili, iż omawiany „zwrot” już nie jest aktualny i nastąpił „zwrot” nowy. Na taką teorię literatury o ważności z datą stempla pocztowego to szkoda mi już czasu.

Ale *à propos* teorii literatury. Skoro jestem przy głosie, chciałem jeszcze powiedzieć o jednej sprawie, która mnie zaniepokoiła, a powiem nawet zirytowała. Jest to przykład właśnie tej niefrasobliwej gospodarki terminami, którą współczesna wiedza o literaturze stosuje. Nie wchodzę tu w genezę historyczną i swoistość samego terminu „teoria literatury”, dosyć idiosynkratycznego na tle innych zastosowań terminu „teoria”. Mówi się przecież nie teoria fizyki, ale teoria względności, nie – teoria biologii, ale teoria doboru naturalnego itd. Tymczasem tu teoria wystąpiła w znaczeniu twierdzeń ogólnych o istocie, odmianach i prawidłowościach literatury. Ale w czasach ostatnich nastąpiło na Zachodzie, jeśli się dobrze orientuję, najpierw przesunięcie tego terminu ku znaczeniu „metoda interpretacji”, a potem jeszcze dalej – teoria przez duże T oznacza teorie sterownicze w stosunku do badań literackich, ale względem nich zewnętrzne, jak psychoanaliza czy marksizm. I wreszcie – nie pamiętam, skąd sobie to wynotowałem – teorią literatury jest wszelka wiedza użyteczna w praktyce interpretacyjnej. (Czy wiedza o tym, co to jest świerzop, potrzebna mi w praktyce interpretacyjnej, też należy do teorii literatury?) Przy okazji chciałbym się trochę pospieszyć z profesorem Nyczem.

W przewodniku encyklopedycznym *Literatura polska* wprowadza Pan dwa znaczenia terminu „teoria literatury”. O pierwszym, klasycznym, przed chwilą mówiłem, ale teoria literatury może oznaczać według Pana także metodologię badań literackich. Z tym trudno mi się zgodzić, tym bardziej ze sformułowaniem, które pojawiło się w Pańskim artykule w *Wielkiej encyklopedii powszechnej* PWN, gdzie teoria literatury jest wręcz utożsamiona z metodologią badań literackich. Jak to rozumieć?

R. N.: W sensie historycznym. To znaczy tak, że w praktyce przez teorię rozumiemy albo te zbiory ogólnych zasad dotyczących prawidłowości rządzących literaturą jako całością, albo też pewne koncepcje odwołujące się do określonych założeń metodologicznych. To jest właśnie to węższe rozumienie, o którym Pan Profesor przed chwilą mówił, podając przykład teorii psychoanalitycznej, marksistowskiej czy dekonstrukcjonistycznej. O odrębności de-

cyduje tu osobny korpus założeń metodologicznych, rządzących potem procedurami, za pomocą których teoria weryfikuje swoją skuteczność. W praktyce więc, jak sądzę, nie ma tu wielkiej różnicy, choć w sensie formalnym trzeba by odróżnić metodologię od teorii. Ale jeśli patrzymy z historycznej perspektywy na mutacje tych historycznych doktryn literaturoznawczych, to za teorie uważaliśmy w praktyce zespoły odrębnych założeń metodologicznych.

M.P. M.: Jeśli można, chciałbym włączyć się do tej polemiki. Wydaje mi się, że dyskusja dotycząca tej problematyki wciąż trwa. Chcę tylko podrzucić jeden argument wzięty z praktyki. Na uniwersytetach amerykańskich, gdzie teoria jest najbardziej, by się tak wyrazić, rozbuchana jako przedmiot, gdy w nazwie kursu pojawia się „teoria”, studenci doskonale wiedzą, o co chodzi. Dla nich teoria to jest właśnie wszystko, co nie mieści się w historii literatury, co nie wchodzi w zakres kursów szczegółowych. Może to być np. filozofia, ale taka, której można użyć, zajmując się literaturą. Czyli nie wiemy, co to jest teoria, ale wiemy, na jaki kurs natrafimy, jeśli wybierzemy przedmiot z nagłówkiem „teoria”. Skądinąd przyznać trzeba, że na tych kursach powtarzają się w kółko trzy nazwiska, ale to już inny temat.

H. M.: Cóż odpowiedzieć? Po pierwsze – z praktyki studentów amerykańskich niewiele wynika. Każdy wie, co to są np. „zwierzęta pociągowe” albo „warzywa”, ale nikt nie uważa, że są to terminy poprawne w zoologii czy botanice. Po drugie – mnie wcale nie frapuje to, jak zdefiniować teorię, mnie tylko nie podoba się, że w sposób arbitralny zmienia się dziedzinę przedmiotową, którą dotąd powszechnie wiązano z danym terminem naukowym. W końcu książki Tomaszewskiego, Welleka i Warrena, Głowińskiego i Sławińskich wciąż coś znaczą w naszej dyscyplinie. A tu przychodzi np. Jonathan Culler i powiada tak: „teoria w literaturoznawstwie nie oznacza prób wytłumaczenia istoty literatury ani też metod jej badania, lecz prace dokonujące reorientacji myślenia w dziedzinach innych niż te, do których na pozór należą”; a więc na przykład strukturalizm językoznawczy, teorie aktów mowy, psychoanaliza, różne koncepcje tożsamości, z czego by wynikało, że np. strukturalizm językoznawczy tylko na pozór jest lingwistyką, co trudno przyjąć bez zdumienia. Culler zresztą uznaje, że tradycyjne problemy teoretycznej wiedzy o literaturze także należą do teorii. Ale czy uprawnione jest inkorporowanie do teorii literatury tych wszystkich dziedzin wiedzy o kulturze, z których ona korzysta? Nie rozumiem, po co wprowadza się takie zamieszanie.

R. N.: Pan Profesor teraz mówi o tej teorii, jaka się ukształtowała w ostatnim stuleciu, od czasów Tomaszewskiego, Potiebniego itd. Ta formuła myślenia teoretycznego rzeczywiście zakładała odrębność i określała się przez odróżnienie i od metodologii badań, i od historii literatury, i od interpretacji. Ale jakaś refleksja teoretyczna istniała wcześniej i przybierała ona inną postać. Myślę o dziejach doktryn literaturoznawczych od Platona i Arystotelesa, nie

wspominając o innych kręgach kulturowych, bo tam wyglądało to jeszcze inaczej. Może więc nie powinniśmy zakładać, że zmiana spojrzenia nie jest możliwa. I nawet jeśli uznać, że ta teoria nowoczesna w pewnej mierze wyczerpała swój potencjał operacyjny, to trudno wykluczać, iż nie pojawi się coś, co będzie jakąś jej mutacją czy tylko innym rozumieniem refleksji teoretycznej.

I drugi argument praktyczny – w tej mierze, w jakiej myśl teoretyczna staje się samoświadoma i odwołuje się do własnych założeń metodologicznych, różnica między metodologią a teorią słabnie, bo zaczynają się zacierać ich języki. Jeśli rozpoczynamy myślenie teoretyczne od stematyzowania założeń metodologicznych, zrobienia typologii, klasyfikacji, a potem przechodzimy do refleksji teoretycznej, to tamto rozróżnienie – zasadne w pewnej koncepcji rozumienia teorii literatury – zaciera się. Bardzo trudno jest czasem powiedzieć, które teksty są bardziej metodologiczne, a które teoretyczne.

M.P. M.: Weźmy przykład Ericha Auerbacha, książkę o mimesis. Nigdzie nie pada w niej definicja mimesis, która mogłaby zadowolić Pana Profesora. Ma ta książka bardzo wyraźne przesłanki filozoficzne. Na pewno nie spełnia kryteriów teoretycznych wyznaczanych przez Pana Profesora, a jest to w tej dziedzinie jedna z najważniejszych książek dwudziestego wieku.

H. M.: Ależ to nie jest książka z zakresu teorii literatury! To jest zbiór znakomych i porywających interpretacji kilkunastu utworów literatury światowej.

M.P. M.: Ale jest traktowana jako książka należąca do gatunku teorii. Tak jest traktowana.

H. M.: Proszę o zrozumienie mojego stanowiska – uważam, że szkodliwa jest taka arbitralna żonglerka terminami. Pamiętajmy, że najbliższą tradycją teorii literatury Tomaszewskiego i jego następców była „teoria poezji” (termin funkcjonujący od połowy osiemnastego wieku), a dalej sięgając – poetyka; i podtytuł książki Tomaszewskiego brzmi właśnie „poetyka”. Że ta teoria literatury splatała się i splata w praktyce z teorią badań literackich, to nie ulega wątpliwości, i tezy metodologiczne, czy szerzej, tezy dotyczące teorii badań literackich (bo to pojęcie zakresowo szersze) trzeba wyłuskiwać z twierdzeń teoretycznoliterackich. Podobnie np. jak można i trzeba wyłuskiwać twierdzenia teoretycznoliterackie z tekstów, które w polskiej terminologii nazywa się krytyką literacką. Ale trzeba zdawać sobie sprawę, że w jednym i drugim wypadku owe teksty zawierają twierdzenia odmiennie usytuowane w obrębie wiedzy o literaturze. Czym innym jest wypowiadanie zdań ogólnych o literaturze, czym innym określenie przedmiotu badań literackich i zadań, które przed nimi stoją, czym innym wreszcie sformułowanie sposobów, które pozwalają zadania te zrealizować. W imię higieny naukowej warto więc zdawać sobie sprawę z tego, że czym innym jest teoria literatury, czym innym teoria badań literackich i jej część – metodyka badań literackich. Mówię o tym

skrótowo, by nie powtarzać poglądów wyrażonych w moim artykule *Teoria i metoda w badaniach literackich*. Rzecz jasna, można mieszać dyscypliny – jak przyzywał gdzieś Derrida – ale trzeba to robić ze świadomością tego, co się robi.

Nie mam ja nic przeciwko temu, żeby w zakres edukacji studentów amerykańskich, a nawet polskich wchodziła psychoanaliza, dekonstrukcja, teorie genderowe, a także marksizm, ale wydaje mi się, że jest męceniem ludziom w głowach, jeżeli teorią literatury nazywa się te oto światopoglądowe czy metodologiczne koncepcje sterownicze, które bezpośrednio o literaturze nie mówią, tylko stanowią nadbudowę czy inspirację dla wiedzy o niej. A w ogóle sprawa ta wydaje mi się drugorzędna; poruszyłem ją, ponieważ cenię porządek i wyraźne rozróżnienia. Nie mam w tej chwili dobrego pomysłu na to, jak się powinna nazywać pozaliteracka wiedza teoretyczna, użyteczna dla badacza literatury. Ale skoro przez sto lat teoria literatury miała już swoje mniej więcej ustalone znaczenie, a owe koncepcje sterownicze o literaturze bezpośrednio nie orzekają, to nie widzę żadnej racji, żeby nazywać je teorią literatury.

R. N.: A to zaskakujące, bo Pan Profesor teraz objawia się jako zwolennik czysto ergocentrycznego rozumienia badań literackich. Wszelkie zewnętrzne koncepcje, które próbowały wskazać na ważność badania relacji literatury z tym, co na zewnątrz – więc psychoanalityczne, socjologiczne – nie byłyby teoriami literatury?

H. M.: Źle mnie Pan zrozumiał. Przykro mi, że nie potrafię przedstawić Państwu sprawy dość prostej. Jestem zwolennikiem ergocentryzmu w tym znaczeniu, że uważam dzieła literackie za centralny przedmiot badań literackich, ale zarazem opowiadam się za badaniem literatury w jej rozmaitych relacjach z pozaliterackimi dziedzinami rzeczywistości humanistycznej. Jednak teorie tych dziedzin nie są częścią składową teorii literatury. Do teorii literatury – według mnie – należą tylko aplikacje teorii „zewnętrznych” względem literatury. Nie jest więc książką teoretycznoliteracką *Totem i tabu* Freuda, jest – *Lęk przed wpływem* Blooma; nie jest studium Junga o archetypach nieświadomości zbiorowej, jest – praca Maud Bodkin *Archetypal Patterns in Poetry*; nie jest *Czytanie „Kapitału”* Althussera, jest – rozprawa Balibara i Machereya o literaturze jako formie ideologicznej itd., itd. Parafrazuję tu to, co pisałem o marksizmie – aż strach się przyznać – pół wieku temu. Marksizm z wielu różnych względów, jako koncepcja filozoficzna, teoria rozwoju społecznego itd., jest doniosły dla teorii literatury, sam jednak nie jest teorią literatury. Oczywiście – są też prace częściowo należące do teorii literatury, częściowo poza nią wykraczające, jak np. *Das literarische Kunstwerk* Ingardena, którą to książkę sam autor nazwał „badaniem z pogranicza ontologii, teorii języka i filozofii literatury”.

R. N.: Prawdziwa literatura jest autonomiczną fikcją, wobec tego trzeba badać ją za pomocą aparatury zdolnej do analizy jej osobliwości dyskursywnej. W wypowiedzi Pana Profesora widzę jednak mocny manifest autonomii literatury i autonomicznych badań literackich. Przypuszczam więc, że świeżo wydana przez nas książka, zatytułowana *Kulturowa teoria literatury*, nie będzie teorią literatury w rozumieniu Pana Profesora.

H. M.: Nie rozumiem, skąd ten wniosek. Powtarzam, co powiedziałem przed chwilą: do teorii literatury należą literackie zastosowania wszelkich pozaliterackich teorii kulturowych, ale nie owe teorie same w sobie. Włączanie ich do literatury narusza ich suwerenność, stwarza absurdalną sugestię, że były one subdyscyplinami teorii literatury, prowadzi do teorii literatury bez granic. Wytwarza to niepotrzebny chaos w taksonomii nauk humanistycznych. Zapewne w związku z ich przemianami taksonomia ta powinna być zmodyfikowana, ale nie przez mylące przesunięcie znaczeń terminów o wyraźnych, mocno zakorzenionych w tradycji konturach.

M.P. M.: Jednak np. psychoanaliza dostarcza języka, za pomocą którego mówi się o literaturze, i z tego powodu jest teorią literatury.

H. M.: Ale nie jest w tym sensie teorią literatury, w jakim jest poetyka – zgodzi się Pan?

M.P. M.: Dlatego, że poetyka to poetyka, a teoria to teoria.

H. M.: Poetyka, generalnie biorąc, jest uważana za rdzenną część składową teorii literatury.

M.P. M.: Uważam, że poetyka jest taką dyscypliną, która zajmuje się dostarczaniem narzędzi potrzebnych do analizowania tekstu literackiego z pewnego określonego punktu widzenia. Z innego, odmiennie określonego punktu widzenia ten tekst można analizować inaczej i wtedy wchodzi w grę inne możliwości. Zgadza się, że do tego, by przeprowadzić analizę amfibrachu, nie jest potrzebna psychoanaliza, ale analiza amfibrachu nic nam nie powie o stosunku pisarza do świata, o czym mówi psychoanaliza.

Powiedziałbym tak: teoria literatury jest równoznaczna z filozofią literatury, to znaczy mówi nam o tym, czym jest literatura, jak ją poznawać, jakie są jej odniesienia do świata, etc. Poetyka chce nam powiedzieć, czym są części składowe tekstu literackiego. Tym przecież jest poetyka w sensie najściślej-szym: wiedzą o tym, jak coś jest zrobione. Teoria nie zajmuje się takimi rzeczami. Chce odpowiedzieć na pytania bardziej elementarne: czym w ogóle jest dzieło literackie i o czym ono naprawdę coś mówi?

H. M.: Zdziwił mnie pogląd profesora Markowskiego na poetykę jako tylko narzędziwnie analizy tekstów literackich. Przypominają mi się czasy moich studiów, kiedy to poetykę zaliczano do nauk pomocniczych historii literatury. Co do mnie – uważam poetykę za naukę mającą swe własne cele – badającą budowę dzieł literackich i ich morfologię – i z tego względu stanowiącą nieusuwalny rdzeń teorii literatury. Chcę też zwrócić uwagę na zasadniczą różnicę: owe „narzędzia”, a więc kategorie poetyki, nazywają składniki i relacje zachodzące w utworach literackich. „Narzędzia” psychoanalizy odnoszą się do zjawisk zachodzących w psychice. Idąc drogą wskazaną czy akceptowaną przez Panów, należałoby do teorii literatury włączyć każdą koncepcję teoretyczną, która na naukę o literaturze w szerszym zakresie oddziaływała, uznać więc za teoretyków literatury np. Husserla, Wölfflina, Lévi Straussa, Maturanę, twórców różnych teorii lingwistycznych – od de Saussure’a po Fauconniera...

R. N.: Tak jest u Jakobsona: określone rozumienie języka stanowi podstawę do rozumienia teorii literatury.

H. M.: Ale nikt nie twierdzi, że językoznawstwo jest częścią teorii literatury.

R. N.: Odwrotnie – u Jakobsona teoria literatury byłaby częścią językoznawstwa.

H. M.: Jakobson mówił nie o teorii literatury, lecz tylko o poetyce, a i tę koncepcję można by kwestionować. Jest ona przejawem redukcjonizmu – tendencją skrajnie przeciwną w stosunku do imperializmu teoretycznoliterackiego, z którym polemizowałem.

R. N.: Tu rzeczywiście dotykamy kolejnego zakrętu w dziejach myślenia teoretycznoliterackiego i humanistycznego, gdzie przedmiotem dyskusji stają się kolejne różnice w możliwościach wykładni czegoś takiego, jak natura i charakter badań literackich, a i samej literatury.

T. W.: *Na tym wszakże zakręcie zatrzymałabym naszą rozmowę, która zaczęła się od pytań o etykę naszej profesji, a skończyła na sporze o kategorie. Nie zamykamy jednak tej dyskusji, a jedynie ją zawieszamy. Dziękuję wszystkim uczestnikom za to spotkanie.*